Z pobytu Władysława Żeleńskiego

w Pradze.

Wspomnienie z r. 1860 — 1.

skreślił

Łukasz Wielkopolanin.

LWÓW.
Z drukarni K. Wiesnera
1898.

Z pobytu Władysława Żeleńskiego

w Pradze.

Wspomnienie z r. 1860 — 1.

skreślił

Łukasz Wielkopolanin.

LWÓW.
Z drukarni K. Wiesnera
1898.

Gdy człowiek zbliża się do kresu wędrówki życiowej, widzi przed sobą otwarty grób własny, ciemny, odosobniony, pełen tajemnic. Co za nim? oto pytanie, na które i religja i nauka w swój sposób odpowiadają; a przecież, bliżej się rozpatrzywszy, przekonujemy się, że takiego zagadnienia nie powinno się stawiać, ponieważ jest, przynajmniej na dziś, poprostu nierozwiązalne. Więc i starzec odwraca się od tego widoku i woli popatrzyć na drogę odbytą; cofa się wstecz, aż do dzieciństwa swego, odgrzebuje wspomnienia świetlane młodości, chętnie opowiada o czynach i przygodach wieku dojrzałego. Niebawem jednak spostrzega, że cała ta droga zarzucona jest kośćmi nadziei chybionych, uczuć sponiewieranych, zamiarów poronionych pełna złudzeń, majaków i rozczarowań; obok zaś tego długiego gościńca cisną się, z początku rzadko — potem coraz gęściej, grobowce rodziców, dzieci, rodzeństwa, przyjaciół, towarzyszów, znajomych, wreszcie mężów i niewiast znakomitych, z którymi było mu danem stykać się, a których czcił i kochał. Każdy z tych nieboszczyków wyrwał mu cząstkę z jego własnego serca, jego pragnień, myśli oraz przekonań i zabrał je wszystkie ze sobą do grobu. Trudno, zaprawdę, walczyć

z umarłymi! Nibyto pozostał człowiek żywy, a tymczasem to cień tylko chodzący, istny upiór, ogołocony z najlepszego, co w swej osobistości posiadał. W sercu i w myśli jego znajdują się dotkliwe braki, szczerzą się luki, których niczem nie może teraz zapełnić, a posiada znów takie uczucia, któremi z nikim już więcej podzielić się nie potrafi. Kiedy tak ani przyszłość, ani przeszłość nie daje zupełnego zaspokojenia, my osamotnione niedobitki, którzyśmy przeżyli nasze pokolenie, szukamy punktu oparcia, ukojenia w teraźniejszości: garniemy się do małej dziatwy, która też jedynie chwilą obecną żyje, całą duszą lgniemy do tych niewielu towarzyszów młodości pozostałych jeszcze przy życiu, w nich bowiem odnajdujemy znowu uzupełnienie naszej osoby postrzępionej i poszarpanej przez nieboszczyków Oto psychologiczne rozwiązanie zagadki, dlaczego koleżeństwo z ław szkolnych jest najtrwalszym i najsilniejszym węzłem, łączącym ludzi pomiędzy sobą, aż do najpóźniejszej starości.

* * *

W r. 1860 wielkie ferje akademickie przepędziłem jak zwykle u mojego dobroczyńcy, hrabiego Seweryna Mielżyńskiego w Miłosławiu, miejscu pamiętem z jedynej dla nas zwycięskiej bitwy w czasie powstania poznańskiego w 1848 r. Pan z panów, właściciel miljonowej fortuny, brzydził się szczególnie przesądami kastowymi. Gdy w początkowej z nim korespondencji tytułowałem go, jak się należało, hrabią, napisał w odpowiedzi, pomiędzy innemi, te słowa: „Nie maltretuj mnie hrabią, bo tego tytułu tylko kpom używać pozwalam“. List

ten zachowałem na wieczną pamiątkę, a przecież dziś gotów go jestem sprzedać na rzecz towarzystwa demokratycznego miłośnikom autografów, lecz pod jednym warunkiem, iż kupujący będzie jeden z licznych hrabiów galicyjskich, który zamieści ten list, w ramki oprawiony, obok swego dyplomu hrabiowskiego.

Seweryn Mielżyński znany był w całej niemal Polsce i szanowany powszechnie za swą wszechstronną pracę i ofiarność patrjotyczną, ceniony zwłaszcza na emigracji, której instytucje szczodrze i stale, jak np. szkołę batiniolską w Paryżu, zasilał. Ręka w rękę szła z nim zacna małżonka, z domu Wilxycka, właścicielka dóbr Ryńsk w Zachodnich Prusach. Żołnierz w r. 1830 i 48, miłośnik sztuk pięknych, zwłaszcza muzyki i malarstwa, zwolennik nauk przyrodniczych, człowiek wysoko wykształcony i wielkiego serca, skierował działalność swoją na spełnienie obowiązków obywatelskich wszędzie, gdzie dobro publiczne tego najbardziej wymagało bez względu na niesympatyczne mu nieraz osoby lub partje. Stale utrzymywał swoim kosztem kilku uczniów, to w szkołach średnich, to po wszechnicach. Był jednym ze założycieli towarzystwa pomocy naukowej imienia Dra Marcinkowskiego i do końca najczynniejszym członkiem. Wspierał hojnie rozmaitych artystów, że tylko z moich czasów wspomnę Biernackiego i Zarzyckiego, gromadził galerję obrazów, skupywał sztychy kosztowne, książki, rękopisma, które potem towarzystwu przyjaciół nauk w Poznaniu wraz z funduszem na dom podarował. Jak szczerze i mocno wierzył w odbudowanie Ojczyzny, świadczy fakt, że umierając bezdzietnie, testamentem przekazał za zgodą małżonki cały majątek przyszłemu rzą-

dowi Polski niepodległej i to na cele oświaty narodowej. Ponieważ taki zapis w obecnych stosunkach byłby pozbawiony mocy prawnej, uczynił osobnym aktem bratanka swego, Józefa, dożywotnikiem, pobierającym dochody tak z dóbr miłosławskich, jak Ryńska z wyjątkiem 5000 talarów rocznie, przeznaczonych na utrzymanie towarzystwa przyjaciół nauk; dla czuwania zaś nad wykonaniem testamentu w razie odbudowania Polski ustanowił osobno tak nazwaną wieczną radę miłosławską. Ostatnią atoli wolę stryja p. hr. Józef Mielżyński podeptał bez skrupułu nogami. Sprzedał, jakby swoją własność, najprzód Ryńsk, a przed 2 laty dobra miłosławskie. Znany ugodowiec, „admirał konnej marynarki“, p. Józef hr. Kościelski nabył je dzięki posagowi żony, córki Blocha, bankiera żydowskiego w Warszawie i miljonowemu spadkowi po stryju swym, znanym Sefer-baszy, chedyfa Ismaiła zauszniku, o którym w Kairze mówiono, że dla tego się tak nazywa, ponieważ *sait faire* (umie obrabiać) swoje interesy *). Tak więc właścicielem Miłosławia, który wielki patrjota darował Polsce, został „Prusak polskiego pochodzenia“, jak sam publicznie się nazwać nie wstydził. Co za straszna ironja losu!

* * *

Chcąc się oddać specjalnie położnictwu, zamierzyłem na dalsze studja udać się do Pragi. Tam bowiem istnieje wielki, a jedyny w swoim

*) W dziele Ch. Mismera, Souvenirs du monde musulman 1892 Paris, strona 237 czytamy, co następuje: „...brasseurs d'affaires, entremetteurs de culisses, pauvres héros, enrichis par la mendicité, formaient sous l'inspiration d'un renégat polonais, dénommé Pacha Sait-Faire, une camarilla cosmopolite, ou plutôt un syndicat d'exploitation des faveurs Khédivales.

rodzaju zakład publiczny, połączony z kliniką, do którego z całych Czech drzyjmowane są na czas słabości — bezpłatnie ubogie kobiety. Obok głównego gmachu znajdują się tak zwane koszary, przeznaczone dla kilkudziesięciu akademików i lekarzy, zapisanych na specjalny kurs położnictwa. Otrzymują oni pomieszkanie i usługę darmo przez 6 tygodni i są obowiązani dzień i noc być w pogotowiu, aby partjami asystować i pomagać przy odbywających się połogach. Ponieważ zakład zwykle jest przepełniony, a liczba kobiet brzemiennych nieraz dochodzi do dwustu, więc w krótkim czasie można widzieć wiele połogów i nabyć dużo praktyki, zręczności i wprawy w wykonywaniu sztuki akuszerskiej. Nie minie doba, żeby się nie zdarzyło kilku wypadków rodzenia. Dniem a szczególniej nocą jęczy przeraźliwie w koszarach raz po raz dzwonek, sygnalizujący, że nowy obywatel świata ma się niebawem pojawić. Oddział wyznaczony medyków śpieszy na jego przyjęcie, które mu nieraz, niestety, rękoczynem — jak mawiał nieodżałowanej pamięci prof. Skobel w Krakowie — kleszczami lub innemi szpetnemi narzędziami ułatwiać trzeba.

Pan Seweryn zamiar mój pochwalił, a przytem, mając zawsze politykę narodową na oku, zalecał, abym w chwilach wolnych od nauki starał się bliżej zapoznać i wejść w związki ściślejsze z uczącą się młodzieżą czeską i innych ludów słowiańskich dla zainteresowania ich sprawą polską i poruszenia do wspólnej pracy nad odzyskaniem wolności, gdyż wszyscy pozostajemy w niewoli to Moskala, to Niemca, to Turka. Oprócz tego podwyższył mi zaraz pensję i przy tej sposobności powiedział

pamiętne dla mnie do dzisiaj słowa: „My, Polacy, mamy taką szelmowską naturę, że ani rusz nie potrafimy utrzymać przy sobie pieniędzy, a co się tyczy młodzieży, ta już na całym świecie ma ręce jak rzeszota, więc nigdy nie liczy się z groszem. Dla tego otrzymywać będziesz pensję miesięcznie. W razie, gdy ci nie wystarczy do końca miesiąca, wtedy będziesz pościł dni kilka, czem — zyskasz łaski u mej Kaśki. (Tu zwrócił się z uśmiechem do swej żony, która była wielką rygorystką nie tylko co do postów, ale wogóle praktyk religijnych). O jedno cię tylko proszę: nie rób długów i nie graj w karty; bo one są zwykle źródłem wielu nikczemności i demoralizują człowieka. Jeden tylko dług jest godziwy i honorowy, który przez całe życie spłacać powinniśmy: dług wobec ojczyzny! na tę kartę i życie stawić należy, gdy tego zajdzie potrzeba!“ Danego wówczas przyrzeczenia dotrzymałem święcie. Nigdym nie grał w karty i do dziś nie wiem, co to jest weksel lub jakikolwiek inny skrypt dłużny, bom go nigdy nie podpisywał.

Już w pierwszych dniach października r. 1860 pospieszyłem do Pragi z zamiarem zainstalowania się odrazu w koszarach położniczych. Rachuba jednak zawiodła; miejsce już było zajęte; trzeba było wprzódy zapisać się na wszechnicę i czekać kolejki. Na wstępie szczęśliwym przypadkiem zapoznałem się z rodakami, uczęszczającymi w tym czasie na uniwersytet i politechnikę i zaraz do nich się przyłączyłem. Tworzyli oni związek, jakoby kadry pułku polskiego. Był zatem pułkownik, kapelmistrz i wszyscy inni dygnitarze pułkowi, ba! nawet sierżanta nie zabrakło szarży, którą godnie sprawował potomek pono niegdyś hetmań-

skiej rodziny W. Potocki z Kociubieńczyk. Lecz co ważniejsza, panowała tam najprzykładniejsza harmonja i braterskość, łącząca węzłami przyjaźni tak ściśle tę gromadkę zuchów, iż żyli w rzeczywistym choć wyidealizowanym komunizmie, mieli bowiem wspólną kasę pułkową, do której każdy członek składał cały swój dochód, a z której skarbnik pokrywał wydatki wszystkich. Jak wszędzie, tak i w tem małem kółku byli bogatsi i biedniejsi, kasa więc wspólna służyła, aby w delikatny sposób pomóc tym ostatnim. Stąd bynajmniej nie wynika, żeby ta młodzież była papinkowata, czułostkowa i pobłażliwa. Przeciwnie składała się ona z ostro zarysowanych jednostek i charakterów wybitnych, wrzała pełnią życia, gorące prowadziła rozprawy i zwady, stawała zacięcie w obronie swych przekonań, na pojedynki wyzywała, a gdy jeden z pomiędzy niej w r. następnym uchybił więcej niż lekkomyślnem postępowaniem godności Polaka, nie zawahała się, skoro wszelkie łagodne napomnienia nic nie pomogły, wykluczyć go z pułku i zerwać z nim wszelkie stosunki.

Z początku młodzieży tej było tylko dziewięciu: Hainze O. z Galicji, słuchacz medycyny; Herold E. z Galicji, filolog; Hołyński, człowiek starszy, żonaty, przed Nowym Rokiem wrócił jako filolog do Tarnowa; Lewicki Zenon, technik na ukończeniu, gente Ruthenus, natione Polonus z Galicji; Potocki W. prawnik z Podola austrjackiego; Skomorowski J. filolog z Królestwa; Stewich J. technik, z ojca Czecha urodzony w Puławach; Włyński, technik, mazur z Krakowa, Żeleński Władysław, słuchacz filozofji z Krakowskiego. Zaraz po Nowym Roku 1861 powiększyli tę gromadkę,

zwiedzający wszechnice Europy środkowej już ukończeni nasi lekarze. Najprzód przybył Janikowski Stanisław, późniejszy profesor w uniwersytecie krakowskim; po nim inni z pod zaboru moskiewskiego, jak Bujko K., bracia Strzałkowie J. i H., Swido J., sami Litwini; Fudakowski H., ukrainiec, późniejszy profesor Szkoły głównej; wreszcie z Poznańskiego: Koszutski J., kolega mój z gimnazjum, i Stanowski Z. Tak więc były reprezentowane wszystkie dzielnice Polski w swych odrębnych typach, a przecież przez cały czas wspólnego pobytu w Pradze i później w życiu panowała pomiędzy nami zgoda i sympatja najserdeczniejsza, a węzły przyjaźni zacieśniły się tak silnie, że je tylko śmierć lub losy zawistne por wały. Każdy z nas przygotowywał się przez sumienne studja do swego zawodu, wszyscy uczęszczaliśmy na prelekcje jak najpilniej. Prócz tego każdy z nas posiadał już zawiązek pewnych przekonań i zasad społecznych, które wtedy może zbyt jaskrawo się objawiały, mimo to nie psuły bynajmniej wspólnej harmonji, ponieważ wszyscy zgadzaliśmy się w jednem, że w ten, czy ów sposób każdy Polak wykształcony powinien pracować najprzód dla dobra ojczyzny, a potem dla siebie, nie powinien zaś nigdy obcym bogom, obcym ideom służyć, a już najmniej od nich spodziewać się zbawienia. Fudakows i i Janikowski byli stanowczymi pracy organicznej zwolennikami, reszta pragnęła wypędzić najprzód Moskala z kraju, bez czego wszelki inny wysiłek daremny. Jeden Żeleński w oryginalny sposób należał i do jednego i do drugiego obozu. Wychodząc ze stanowiska artysty-muzyka, oświadczył, że gdy w Polsce chwycą za oręż, on, jak kiedyś Tyr-

teusz, pieśnią bojową rozżarzy zapał wojaków i powiedzie ich do zwycięstwa; skoro zaś dobijać się będziemy niepodległości drogą spokojnego rozwoju i spotęgowania wszystkich sił społecznych, wtedy wzniosłymi utworami muzyki przyczyni się do podniesienia narodu naszego na najwyższy stopień cywilizacji.

Do zaznajomienia się z rodakami, którzy dobrowolnie dla chleba do Złotej Pragi wyemigrowali, niemiałem ani sposobności, ani czasu, a zwłaszcza ochoty, uważałem bowiem takie wychodźtwo za szkodliwe i dla kraju i dla jednostek, które wyrwane z pnia rodzinnego zmarnieć, wynarodowić się muszą. Za to poznałem się bliżej z profesorem H. Sucheckim. Wykładał on na wszechnicy praskiej porównawcze językoznawstwo słowiańskie, a zwłaszcza gramatykę polską. Orłem nie był, przymiotów, wywołujących sympatje młodzieży, nie posiadał to też pomiędzy jedynym profesorem Polakiem na uniwersytecie czeskim, a akademikami polskimi nie było żadnej zażyłości. Posiadał zato jedną cnotę: głębokie poczucie obowiązku i wielką miłość dla języka naszego. Tak był zapalony do swego przedmiotu, iż mimowoli chwytał za serca i zniewalał do poszanowania tej namiętnej miłości do mowy ojczystej. Ponieważ wśród młodzieży słowiańskiej zaledwie kilku posiadał słuchaczów, postawiliśmy to sobie za punkt honoru, aby jako hospitanci po koleji chadzać na jego wykłady, czem go sobie bardzo ujęliśmy. Stąd wywiązały się u profesora co 2 tygodnie wieczorne przyjęcia, na których toczyła się swobodnie rozmowa o literaturze i sprawach, agitujących się w kraju, zwłaszcza w Królestwie; czasami dały się sły-

szeć śpiewki, szczególniej ludowe, których zapas nieprzebrany posiadał Lewicki, a już powszechna zapanowała radość, gdy niespodzianie, chociaż bardzo rzadko, Żeleński zasiadł do fortepjanu i wygrywał swe cudne pieśni z nieodzowną mimiką tak wyrazistą, że i uszy i oczy zarówno się rozkoszowały. Szczególniej „Kukułka“ i „Pieśń żeglarzy“ zawsze zachwyt ogólny i poklask wywoływały. Punktem kulminacyjnym tego pożycia towarzyskiego była składkowa wieczerza we wigilję Bożego narodzenia w domu profesora urządzona. Odbyła się całkiem podług zwyczaju polskiego przy stole sianem zasłanym, z obowiązkowemi 12 potrawami i chórem odśpiewanej pieśni: „W żłobie leży...“. Łamiąc się opłatkiem, wszyscy jedno sobie powiedzieliśmy życzenie: wrócić jak najprędzej do kraju i znaleźć najodpowiedniejsze tam stanowisko do pracy dla dobra ogólnego. Nawet profesor, porwany ogólnym zapałem oświadczył, że starać się będzie stanowczo, aby został przeniesiony do Krakowa.

Żyjąc tak serdecznie z ziomkami, nie zaniechałem bynajmniej poznajomienia się i wiązania z młodzieżą słowiańską w celach politycznych. Grunt był świeżo powstałymi stosunkami w Austrji po zeszłorocznym pogromie we Włoszech przygotowany i nader podatny do wspólnej pracy. Narodowości słowiańskie zaczęły poprostu wrzeć nowem życiem w zaraniu ery konstytucyjnej, szukać jedna u drugiej punktów styczności, porozumienia, poparcia. Naturalnym biegiem rzeczy młodzież kształcąca się w Pradze, musiała jako kwiat narodu tem bardziej być przeniknioną tchem ożywczym, tem silniej wstrząsana prądami, elektryzującymi wszystkie ludy w Austrji. Niezmiernie

ułatwił mi zadanie Lewicki przez rozległe swe stosunki i mir, jaki posiadał nietylko wśród Czechów, ale i pomiędzy młodzieżą ruską, serbską kroacką i bułgarską. Niebawem dobrawszy sobie z każdej narodowości po dwóch członków, samych tuzów, utworzyliśmy pierwszy związek wszechsłowiański z programem o trzech zadaniach: 1) budzić i rozwijać głównie przez oświatę poczucie narodowości i godności człowieczej w najniższych warstwach każdego narodu; 2) przygotowywać i przeprowadzać w każdym kraju organizację i gromadzić środki materjalne od walki o niepodległość; 3) starać się poznać nawzajem przez obznajomienie się z dziejami urządzeniami społecznemi i potrzebami każdej narodowości. Praktycznem uzupełnieniem punktu ostatniego miały być wędrówki na ochotnika członków do poszczególnych krajów, zwłaszcza Słowiańszczyzny południowej. Drogą prywatnych zebrań i pogadanek zyskaliśmy w krótkim czasie dużo zwolenników, tak że, ośmieleni powodzeniem, zwołaliśmy pod pozorem wesołego obchodu nocy sylwestrowej pierwsze wielkie zgromadzenie, aby publicznie obwieścić, rozwinąć i uzasadnić program powyżej wzmiankowany. Zebrało się w ogromnej piwiarni Szarego kilkaset młodzieży różnojęzycznej, lecz jednym ożywionej duchem; poważne przemowy, ochocze śpiewki narodowe, mistrzowskie deklamacje, huczne toasty, przyciszone rozmowy poufne po różnych kółkach i kątkach zajęły cały wieczór, nie wywoławszy najlżejszego nawet dysonansu. Gdy północ wybiła, zahuczało, jak w ulu i niby rój pszczół wysypali się wszyscy zgromadzeni na pobliski placa Karólowy z gromką pieśnią na ustach: Hej, Slovanie!... Ponieważ melodja jest ta sama, co

w marszu Dobrowskiego, więc my Polacy huknęliśmy naszą: „Jeszcze... nie zginęła.“ Tak powitano Nowy Rok 1861 w Pradze. Zaledwie atoli czoło pochodu dotarło do środka placu, wyskakuje nagle ze wszystkich stron zaczajona czereda policjantów, okrąża zgromadzonych i bez wezwania płazuje dobytymi pałaszami każdego, który się nawinie. Szpiedzy zaś, którzy już, jak to później wyszło na jaw, w piwiarni nas śledzili i podsłuchiwali, a potem razem z nami wyszli, nuż uganiać za upatrzonemi naprzód ofiarami, nuż chwytać i odprowadzać do aresztu. Czesi, którzy przeważną większość zebranych stanowili w jednej chwili tył podali i znikli, obcy, mniej obeznani z miejscowością i nie poczuwając się do żadnej zbrodni, pozostali w liczbie kilkudziesięciu na miejscu i zaprotestowali w sposób spokojny przeciw napaści. Szpicle, wyłowiwszy kogo im było potrzeba, pozostawili nas w spokoju. To też na miejscu uradziliśmy wspólnie z pozostałymi Kroatami. Serbami i kilkoma Czechami, którzy się niebawem pojawili, aby się udała niezwłocznie deputacja do namiestnika cesarskiego z zażaleniem na gwałt policji i z prośbą o udowodnienie zaaresztowanych kolegów. Wczesnym rankiem deputacja została rzeczywiście przyjęta, a po zbadaniu sprawy uwięzieni akademicy niezwłocznie uwolnieni. Skropiło się na dyrektorze policji, który w parę miesięcy po tej awanturze został przeniesiony. Był-to ów głośny swego czasu radca Englisch, mający na utrapienie mieszkańców długie potem jeszcze lata urzędować w Krakowie. I dla mnie miało to zajście wcale niewesoły epilog. W kilka dni później otrzymałem pozew, abym się stawił do policji. Przyjął mnie komisarz

trzema pytaniami: czym był 31 grudnia wieczorem w kawiarni Szarego? czym przemawiał do zebranych? czym śpiewał na placu publioznym?. na które trzy razy odpowiedziałem: tak. Wtedy zawiadomił mnie najuprzejmiej, że z rozporządzenia p. dyrektora policji mam po trzech dniach opuścić Pragę. Na takie dictum acerbum poprosiłem go, aby zawiadomił p. dyrektora primo, że jestem imatrikulowanym słuchaczem zwyczajnym wszechnicy praski, sąd więc i wyrok nademną należy w pierwszej instancji do senatu akademickiego, którego opieki niezwłocznie zażądam, secundo, że jestem tu jako poddany pruski za paszportem pruskim, więc odniosę się do ambasadora pruskiego we Wiedniu, ze skargą na prześwietną dyrekcję policji austrjackiej, która mnie w środku semestru akademickiego chce wyrzucić z miasta za to, żem pił piwo, przemawiał w zamkniętem miejscu i śpiewał sub Jove frigido na powitanie Nowego Roku. Po dość długich ceregielach, policja złagodniała; skończyło się na tem, żem jej musiał wystawić cyrograf niezwłocznego wyjazdu z Pragi, z końcem semestru zimowego. Pospieszyłem zatem przesiedlić się do koszar położniczych, raz aby dokończyć kursu, a potem, aby zejść na pewien czas z oczu policji, która mnie argusowo śledziła. Po 6 tygodniach ciężkiej pracy i niedospany, wskutek zajęć fachowych, przeniosłem się się mieszkanie do koszar polskich, w pewnej kamienicy przy ulicy Sirkowej, w której mieściła się większość naszej gromadki. Tam doczekałem końca semestru, pozostając w najserdeczniejszej zażyłości ze wszystkimi, a gdy przyszło się żegnać, choć łza cisnęła się do oka, z ust wypłynęła pieśń zuchowatości mło-

dzieńczej: „Wesoło żeglujmy, wesoło — Po życia burzliwym potoku“. — Mimo rozstania bowiem, pozostały stosunki szczerej naszej przyjaźni nietknięte i niepokalane, ani czas ich nie rozluźnił, ani oddalenie nie zerwało. Dziś większość już wymarła, część gdzieś się zawieruszyła, kilku tylko żyje, lecz ci z pewncścią zaliczają czasy praskie do najpiękniejszych wspomnień młodości. Portrety każdego z nich byłyby interesujące i ciekawe. Ograniczę się na skreśleniu dwóch: pierwszego, który żyjąc stał się głośnym i jest chlubą naszego narodu; drugiego już nieboszczyka, cichego lecz niemniej zasłużonego

Prawie dwa miesiące mieszkałem razem z Władysławem Żeleńskim w jednym pokoju, mogłem go zatem poznać dokładnie. Już wtedy można było wymiarkować, że wyjdzie na tuza. W pierwszych chwilach zaznajomienia się z kimś, albo gdy znajdywał się wśród obcych lub obojętnych mu osób, zachowywał zawsze pewną sztywność i chłód w postępowaniu, co nie było bynajmniej wynikiem jakiejś dumy czy zarozumiałości, lecz raczej zamaskowaniem nieśmiałości z lat chłopięcych mu pozostałej. Za to w gronie dobrych znajomych ożywiał się odrazu, topniał, był wylany lubił żarty i dowcip, a nawet płatał figle nieraz szalone. W obcowaniu towarzyskiem z kobietami ta nieśmiałość potęgowała się i przeobrażała we formalną niekiedy paniką. Wchodziły tu bowiem już i zasady, które sobie wyrobił o stosunku pomiędzy kobietą a mężczyzną. — Bjoernstjerne Bjoerson, współzawodnik Jbsena, w jednym z ostatnich dramatów pod tytułem: „Rękawiczka“ przepysznie przeprowadza ideę równouprawnienia kobiety w stosunkach

płciowych a szczególnie w małżeństwie. Jego bohaterka, Swawa, mimo gorącej miłości, mimo obawy przed opinją publiczną, wbrew presji rodziców i straty materjalnych korzyści zrywa stanowczo z narzeczonym tuż przed ślubem dla tego, ponieważ przekonała się, że nim ją poznał, kochał się już w innych i bawił się miłostkami z wieloma; ona zaś, będąc dziewicą nietylko cieleśnie, ale i w sercu i w myślach swych, żądała od niego takiej samej stawki na wstępie do loterji małżeńskiej. Otóż Żeleński już przed 38 laty wyrobił sobie przekonanie i niem kierował się w życiu, że mężczyzna, który pragnie pokochać kobietę, coby mu była później godną towarzyszką żywota, winien do niej przystąpić nieskalany. W tem tkwi rozwiązanie zagadki, dla czego w stosunkach z kobietami tak był trwożliwy i nad wyraz oględny. Nie chciał, aby go posądzano czasem o jakie żądze wszeteczne, a strzegł się, żeby przypadkiem nie ulec krewkości temperamentu i figlarce fantazji, która w duszy jego panowała despotycznie. Jak dalece był wiernym swem zasadom, a przytem wstydliwy, niech świadczy następujący wypadek. Tuż obok Sirkowej ulicy znajdowała się masarnia, do której częstośmy zachodzili, zwłaszcza kiedy przy końcu miesiąca kasa pułkowa świeciła pustkami. Zastrzec się tu muszę przeciw posądzeniu nas o marnotrawstwo gorsza i pohulanki. Przeciwnie żyliśmy bardzo statecznie, choć wesoło, ale staraliśmy się zawsze i wszędzie wysoko trzymać sztandar godności polskiej i nie dawać nawet pozoru do obmowy naszem postępowaniem. Jeżli nie wystarczyło czasami pieniędzy do końca miesiąca, winą tego były rozliczne składki i zapomogi, któremi rozporzą-

dzał szczodrze serdeczny Lewicki. Otóż ta masarnia należała do pewnego małżeństwa czeskiego. On olbrzym dobroduszny, flegmatyczny, małomówny i trochę tępego umysłu, — ona kobiecina malusia, ale zażywna, miła, fertyczna, gadatliwa, sprytna i trochę kokietka, słowem une femme de trente ans Balzaka. Za sklepem znajdował się pokój dla gości z oknami, wychodzącemi na podwórze. Było to przy końcu marca, dzień był pogodny i tak ciepły, żeśmy aż okna pootwierali, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Podjadłszy sobie rozmaitej świniny zabawialiśmy się wesołą pogawędką, do której wtrącała raz po raz jakie słówko dowcipne obsługująca nas gosposia, a której przysłuchiwał się z uśmiechem w sklepie potężnego kufla piwa pilnujący gospodarz. Żeleński jak zwykle, gdy nas była gromada, a rozmowa się przedłużała, chodził naokoło stołu zatopiony w sobie. To mruknie, to gwiźnie, to huknie, to piśnie, to ręką machnie, jakby smyczkiem wodził, to notyskę wyrwie z kieszeni i szybko zapisuje ją nutami, słowem komponuje. Do tego myśmy przyzwyczajeni byli, a radzi, że znów usłyszymy nową melodją, podłożoną do którychś ulubionych wierszy naszych poetów, więc nie przeszkadzaliśmy mu wcale w tej pasji tworzenia. Wreszcie skończył, a my poczęliśmy się zbierać ku wyjściu. Wtedy przechodzącego koło mnie Władka pochwyciłem oburącz i posadziłem sobie na kolana, a trzymając go mocno, zawołałem na masarkę; „Mamo; tak ją bowiem ochrzciliśmy — „chodź i pocałuj kapelmistrza, bo nam znów coś pięknego skomponował.“ Mama na to, jak na lato. Już wyciąga ramiona, już się słania ku niemu, gdy on nagle wyrywa mi się z rąk i — buch! pod

stół. My w śmiech, mama za nim. Widząc się w takich opałach, kapelmistrz jednym susem przesadza okno, wyskakuje na podwórze i bezprzytomny ucieka ulicą do domu. Gdyśmy za nim podążyli, znaleźliśmy go w stancji, rozbijącego w strasznym gniewie, co mu w rękę wpadło. Nas zwymyślał okropnie, lecz widząc mnie, głównego winowajcę, w pokornej postawie i niby to w skrusze łzy obcierającego aż ręcznikiem, rzucił mi się na szyję, mówiąc: „Jak mogłeś coś podobnego uczynić? czyż nie wiesz, że ust mych dotknie się tylko moja narzeczona!“

Już wtedy Żeleński prócz różnych pieśni i piosenek skomponował uwerturę do Wallenroda. Nawet w nocy muzyka go w snach nawiedzała. Bywało, śpię sobie smacznie, gdy naraz budzi mnie huk straszliwy. Zrywam się z pościeli, wytrzeszczam oczy, a tu mi kapelmistrz w najgrubszym negliżu siedzi przy fortepjanie i gra z takiem zacięciem, że aż struny ledwie nie popękają, a jęczą, a wzdychają, a kwilą, a świszczą, a śmieją się, a szczebiocą, a szepcą; mistrz zaś najpocieszniejsze przybiera pozy i wyprawia grymasy, że aż ciarki po człeku przechodzą; to wypręża się, to gnie całem ciałem, pracuje wszystkiemi członkami, w oczach płoną blaski natchnienia, wreszcie odpadają od klawiszów ręce zmęczone, wybraniec muz zataczając się w omdleniu pada na łóżko.

* * *

Daleko lepiej, niż moje opowiadanie, charakteryzują Żeleńskiego własne listy, z których kilka przytaczam. Jeden otrzymałem w 3 miesiące po moim wyjeździe z Pragi w odpowiedzi na jakiś z swej strony docinek co do ary-

stokracji. Mieści się tam dużo humoru, lecz na dnie płuży zewsze poważne zapatrywanie się na życie i rozmiłowanie w muzyce.—

Praga czeska dnia 26/6, 61 roku.

„Parole d'honneur, odebrałem od Ciebie list w tym tygodniu, który bardzo mi był miłym i robił mi bardzo dobrze, croyez-moi. Uczucia miłości napawają Twój list tak miłą wonią, iż nie tylko oczyma, ale i nosem pożerałem wyrazy słodkobrzmiące. Quel charme d'aimer et d'être aimé! Ta miłość jest bardzo potrzebna, wznosi człowieka w sfery wyższe sentymentów arystokratycznych pour ainsi dire. Jednak pomimo tego je suis aussie democrate, mianowicie, iż lubię, a nawet wolę w każdym razie listy frankowane, w tym razie więc idę za dążeniem wielu i jestem bardzo liberalnie myślącym. Figurez-vous, mon mcher Luc, jak mi to nie wsmak poszło wydobyć 20 centów przy ciężkich czasach dont nous souffrons przy każdym końcu miesiąca. Wówczas zwykłem spuszczać się z tonów pańskich, których w salonach nabyłem (według zdania twych najukochańszych przyjaciół, opłakających ciągle Twój wyjazd z Pragi) i wracam ku temu, co nasze. Bardzoby mi na rękę było znaleźć teraz dowody w jakich kronikach Marcina Galla, Kromera, Bielskiego i i. iż w dawnej Polsce piszący opłacali listy, a nie odbierający; w tym razie nie byłoby od rzeczy spytać się naszego profesora, tenby może znalazł dość argumentów, służących za punkt oparcia do twierdzenia, by się tego zwyczaju trzymać, „bo to rodzime, bo to nasze“.... A teraz zmieniam mój ton na nieco poważniejszy. Nie wiem, co Cię nastroiło do takiego tonu rozpa-

czy i wściekłości na ród niewieści, że mi każesz utopić sztylet w serce kochanki; to coś na Gustawa patrzy z IV. części „Dziadów“. Ręczę, iż kreśląc wyrazy do mnie, miałeś słowa na myśli:

„Kobieto, puchu marny! ty wietrzna istoto,
Postaci twojej zazdroszczą anieli i t. d.“

Ja jednak w tych razach nie jestem desperatem. Kocham, póki widzę mój przedmiot godnym kochania i mnie równie przychylnym. Jeśliby jakimkolwiek sposobem utracił wewnętrzną wartość w mych oczach, miłość moja stygnie wtenczas; prawda, serce jakiś ból głęboki czuje, ale powoli wyleczy się, zwracając się ku czemuś wyższemu, miłości do kraju i (odnośnie do mnie) dla sztuki. Ta ostatnia mianowicie spodlić niczem się nie może sama przez się, kto ją kala, znać, że jej nie kocha, jeno dla czczej sławy i pieniędzy. Tej kochanki nikt mi wydrzeć nie potrafi, ona wzrosła ze mną i na moim grobie kiedyś zakwitnie, niezwiędła dla narodu Polskiego. Może ona jedna kiedyś mi wierna zapłacze nad grobem moim. Miłość moja zaś dla kobiety jest zupełnie spokojną, jeśli mnie będzie miała poprowadzić do rzeczywistości; znajdzie się chwila stosowna, w której nasze dusze zrozumieją się, teraz jeszcze nie przestanę czekać cierpliwie, niemym być obserwatorem, tylko jedna muzyka będzie pośrednikiem, wyrywającym uczucia serca mego na jaw. Teraz żegnaj mi, drogi Łukaszu, pamiętaj o kapelmistrzu. *W. Ż.*

$^{30}/_{6}$. Daruj spóźnienie, czekałem na list pułkownika (Lewickiego), który nie może się wykocić, będąc zajętym deputowanymi, którzy zjechali na pogrzeb Szafarzyka. Lata po całej Pradze, zawsze czuły, grzeczny, śmiejący się

i w najlepszych barwach malujący sobie Czechów. *W. Ż.*

* * *

Dwa następne listy otrzymałem w Berlinie, pierwszy z Pragi, drugi z Grodkowic, wsi rodzinnej, w której Żeleński wakacje przepędzał.

„17. 2. 62. Kochany Łukaszu! W chwili największych złorzeczeń przeciwko Tobie, iż zapomniałeś kompletnie o kapelmistrzu, kochającym Cię zawsze całą duszą, nadszedł Twój list, godzący z Tobą zwaśniony mój umysł. Słowa tęsknoty za Pragą i za nami rodakami radością napawały mi serce; wierzaj mi, drogi Łukaszu, iż to już nie ta Praga, co z. r., polonja owa poczciwa rozjechała się, Ciebie przedewszystkiem brak się dać czuje, z nas weteranów ja i zacny Skomorosz. Stew... zupełnie już nie rachuję, gdyż na złej drodze się znajduje: długów pełno narobił... Czyż to nie wstyd dla polskiego stroju, którego nie zrzuca, tylko jeszcze uwydatnić chce nim swą niegodną postać. Proszę Cię, drogi Łukaszu, napisz mu porządną admonicją, może to potrafi obudzić w nim uśpiony wstyd, szkodaby było tak dzielnego chłopca“. (Rzeczywiście odezwanie się moje wywołało zbawienny skutek. Stew... napisał mi list pełen żalu i skruchy, wszedł w siebie i poprawił, jak o tem sam Żeleński wspomina w liście następującym. W obozie Langiewicza pod Chrobrzą znalazłem Stew. jako kapitana artylerji, a po powstaniu spotkałem go w Szwajcarji, jako technika, zajętego w jednej z fabryk zapałek — przypisek Łuk.).

„Z nowo przybyłych—pisze dalej Żeleński — bawią tu Żulińscy z Warszawy, porządne bardzo chłopcy, znający dobrze stanowisko Pola-

ka, jakie zająć winien za granicą... Pot... fujara jakich mało! Dla tego iż matka trochę zachorowała na wakacjach, zdecydował się siedzieć cały rok w domu. Do czego takie próżniactwo doprowadzić może?

Pisał niedawno do mnie, ale to wszystko duby były smalone, o formowaniu się szlachty instytucjami korespondentów — rozumiesz co z tego? (Żeleński nie wiedział, że to była organizacja „białych“ — przypisek Łuk.) chciał pokazać, jak głębokie ma poglądy na stan polityki w naszym kraju. Najlepszem było, iż kazał sobie sprowadzić z Pragi kule do ćwiczeń, jakby takich nie dostał byle gdzie, a wtedy i transport nie kosztował by od rzeczy tak ciężkiej, a przytem tak mało wartującej. To już korona głupstwa młodzieży szlacheckiej. Tak więc dałem Ci wiadomość o naszem pożyciu w Pradze i o dawnych naszych weteranach. Zapomniałem jeszcze o kochanym Zenonie Pułkowniku; bawi na Ukrainie, gdzie objął zatrudnienie przy cukrowni.

19. 2. 62. Przerwany list mój, dziś dopiero uzupełniam, wiele jeszcze mam Ci do powiedzenia, drogi Łukaszu. Najprzód o sobie, co do mego zawodu muzycznego. Zmieniłem projekt jechania do Paryża na r. przyszły, natomiast mam pozostać jeszcze w Pradze, w czem daleko więcej widzę korzyści dla siebie. Tu już myślę ukończyć zupełnie studja z moim szanownym nauczycielem Krejczim, który — rzec mogę — całą duszą i sercem udziela mi swej obfitej wiedzy muzycznej. Kto wie, możebyśmy się zobaczyli ze sobą, gdybyś zatęsknił za Pragą po nudach berlińskich.

Po ukończonych studjach mam pozostać jakiś czas w kraju, najprędzej w Krakowie, w którym samodzielnie wyrabiać będę ducha mego kompozytorskiego, poczem udam się za granicę, chcąc dobić się wawrzynów, jako skończony artysta, zanim przyjdzie chwila stosowna poświęcić pracę swą ojczyznie na drodze pedagogicznej... Porodów miałem kilka niezbyt ciężkich, bo to dzieci na mniejszą skalę. Uzupełniam zbiór pieśni z Królodworskiego rękopismu, układam chór męzki na słowa Wasilewskiego „Pieśń żeglarzy", twoja to najulubieńsza poezja. Wallenrod śpi. Dzieło to nie tak prędko ukaże się na horyzoncie; nie życzyłbym sobie, aby syn pierworodny z mych większych dzieci przyszedł na świat kulawy albo garbaty. Jeszcze trzeba będzie z kilka lat płód ponosić w żywocie mej mózgownicy. Przyjeżdżaj do mnie, Łukaszu, będziesz miał co słuchać. Do tego czasu spodziewam się, iż które z dzieł moich wyjdzie na jaw, będę więc miał rozkosz doręczyć ci osobiście moje prace byś je zachował, jako od twego najszczerszego przyjaciela. -- Rygorozum moje z historji zdaję 24 Marca, poczem odbędę promocją doktorską. Oby jak najprędzej nadeszła ta chwila, abym wiernym był kochankiem mej Muzy. Przedmioty jednak, jak historja powszechna, a mianowicie ojczysta i literatura, do tego filozofja i estetyka będą nieodstępnemi jej towarzyszkami bez nich artysty nie pojmuję. Masz więc, Łukaszu, całe curriculum vitae od czasu naszego niewidzenia. Pisz że do mnie, jak najprędzej, abym był pewien, iż o mnie pamiętasz, że Ci kapelmistrz z jego tonami nie wywietrzał zupełnie z pamięci. Bywaj więc zdrów na prawdę, kończę słowami Wasilewskiego: „Wesoło że-

glujmy, wesoło! Po życia burzliwym potoku" etc. Twój kochający Cię muzyk, organista, towarzysz i przyjaciel. W. Żeleński.

Posyłam Ci tegoroczną fotografję, a proszę Cię o przysłanie Twojej, której nie posiadam dotąd — prócz przebrzydłej panotypji przeszłorocznej, to zaś cała grupa, a ja żądam osobnego portretu do albumu.

22. 9. 62. List Twój, kochany Łukaszu, uderzył, jak grom potężny, w przeszłym tygodniu we mnie tuż po powrocie z wycieczki do Tarnowa, w którym kilka dni spędziłem w towarzystwie owdowiałego Hołyńskiego. Prędzej czy później spodziewałem się ataku z twej strony za moje uporczywe milczenie; lepiej jednak, żeś na mnie uderzył, obudził z letargu, aniżeli żebyś zagniewany miał mię opuścić. W przeszłym liście niemałego sęka wbiłeś w mą głowę, prosiłeś mnie o przysłanie Ci kompozycji na słowa Wasilewskiego „wesoło żeglujmy, wesoło", jest to ułożone na chór 4-o głosowy, Tyś chciał melodji z fortepjanem. Ułożenie tego jest prawie niepodobnem bez uszkodzenia kompletnego całości; myślałem długo nad tem jakby zrobić, by wilk został sytym, a owca całą, szczęśliwie minęło miesięcy kilka od czasu listu Twego z Berlina. Za naszem widzeniem się w Krakowie będę się starał naprawić złe, wręczając Ci egzemplarz pieśni do słów z Królodworskiego rękopismu, w których pomiędzy innemi pamiętna „kukułka". Są to jeszcze pieśni nadziei, szczęścia przyszłego, czasem gdzie niegdzie zawyje akord zwątpienia, po małych chmurach jednak horyzont znów się rozjaśnia. Jest w nich coś nieoznaczonego, symbolicznie powiedzianego, zgodnie z mem dotychczasowem postępowaniem... List twój jednak, drogi Łu-

kaszu, odczytuję często, dla tego nie łudzę się marzeniami; jedynem marzeniem, któremu pozwalam miotać mną na wsze strony jest i będzie sztuka, w niej i przez nią kocham ojczyznę, czuję siłę do czynu i poświęcenia. Znalazłem wprawdzie ludzi podobnych, którym to nader dziwnie brzmiało, aby ktoś mógł kochać Polskę w akordach; patrzyli i słuchali mnie jakby jakiego półwarjata i dziwaka, oraz uważali za zimnego i nieczułego na cały bieg okoliczności. Cóż robić, któż dogodzi wszystkim ludziom; trzeba tych puścić mimochodem, a samemu śmiało iść raz wytkniętą drogą. Tyle wiem, iż w Tobie mam zwolennika, Tyś mię rozumiał, Tyś dodawał otuchy do zostania na drodze przeznaczonej mi wyrokiem wyższej władzy, a nie wymagałeś rzeczy odemnie, na które zdobyćbym się nie potrafił bez zwichnięcia całego mego życia przyszłego; dość mi tego, jeden przyjaciel za stu nieprzyjaciół obstoi dla mnie, w Twe słowa: „nie opuszczaj tej kochanki“ wierzę, staną się one dla mnie zasadą życia. Wielkie dzieła wyjdą kiedyś z pod pióra mego, niktby ich nie poczuł, nie ujął w ręką silną, nie nadał im ciała; ja do tego jestem powołanym, to zdziałam, poruszę tem wszystkie nerwy skrzepłego życia narodu; poeci działają na rozum, serce i uczucie, lecz jeszcze wszystko to w skrzepłej skorupie; trzeba puścić kilka akordów, które jak iskra elektryczna rozbudzą życie i przyprowadzą do ruchu zamarłe ciało. Dzisiejsza nasza muzyka ma materjały nieskoncentrowane jeszcze, potęga jakiegoś talentu winna rozdzielić znoszące się czynniki i wywołać każdy z nich do życia osobnego, do działania w swojej sferze. Dużo czasu do tego momentu przeminie, ale kiedyś

przyjdzie i do tego, nadziei tracić nie trzeba. Rozgadałem się z Tobą, kończę już, zresztą zobaczymy się niedługo, będziemy też gwarzyli aż miło. Stew..., o tym jeszcze wspomnę na zakończenie, jakoś się bierze do pracy, ojciec jego popłacił grzechy pieniężne, młody pracował jakiś czas we fabryce, jako kowal, musiał jednak przerwać dobre zamysły dla słabości fizycznej. Przyjmij, kochany Łukaszu, serdeczne uściśnienie przyjacielskie od Twego kapelmistrza W. Żeleńskiego.

Ostatni list, który tu umieszczam, pisany był w 16 lat później. O ile z poprzedniego bije gorącą falą zapał i rozmiłowanie w sztuce, śmiałość, zuchowatość, pewność siebie i wiara w wielkie bogactwo swych zdolności, o tyle w następującym widnieje chłodna ocena siebie, krytyka, a nawet czuć pewne zwątpienie, na szczęście, jak przyszłość dowiodła, całkiem nieuzasadnione. Tam był Żeleński młodzieńcem, tu mężem dojrzałym.

Warszawa 9 Maja 1878. Kochany i zacny Łukaszu! Muszę Ci przyznać się ze wstydem, że list Twój pierwszy, przesłany przez Ungra odebrałem, ale w czasie tak chaotycznym dla artystów, mieszkających w Warszawie i w okolicznościach, które mi nie pozwoliły zebrać się na list porządny. Po tak długiej pauzie, w której mało co wiedzieliśmy o sobie, musiało przecież wiele zajść okoliczności, których milczeniem pominąć nie podobna. Pisać zresztą trzeba o sobie, o tem co się zdziałało na polu sztuki, o życiu familijnem, o przybytku, od którego głowa nieraz boli, bo hałasuje porządnie. Zakrawa to na rodzaj „einer Selbstbiographie“, do której nie mam cierpliwości, nie posiadając flegmy niemieckiej pana S p o h r a. A co na to

powiesz, że po przeczytaniu mego listu do Ciebie, który mi przysłałeś, jako przypomnienie naszych serdecznych stosunków — co może było zbytecznem, bo ja zawsze w pamięci mam mego Łukasza — zawstydziłem się sam przed sobą, z jaką pewnością siebie wzbijałem się pod obłoki marzeń, głupimi 7-ma tonami skali chciałem świat zdobyć, a tu z tego wszystkiego — figa! Połowy nawet nie dotrzymałem z tego, co tak szumnie zapowiadałem na Sirkowej ulicy w starym szlafroku moim i podartych pantoflach... Dajmy jednak pokój tym przedwstępnym frazesom, które koniec końców do rzeczy nie prowadzą. Zacznę zatem „curriculum vitae“ od czasu, jak przerwaliśmy nasze relacje piśmienne. Do r. 1866 pozostawałem w Pradze z przerwami wakacyjnemi; jedną zimę przepędziłem w Wiedniu, a jedną w Dreznie. Praga coraz mniej mię nęciła, bo już, prawdę powiedziawszy, nie miałem tam co robić. Zdecydowałem się w końcu 1866 na wyjazd do Paryża. Bardzo mi tam było smutno z samego początku. Stosunki z ludźmi trudniejsze z powodu kursów dalekich, a jak to zwykle we wielkich miastach bywa, brak owej serdeczności, łatwości w zawiązywaniu znajomości i przyjaźni. Pierwszy miesiąc prawie samotnie przepędziłem, aż dopiero w początku 1867 r. z przyjazdem nieodżałowanego Grottgera zacząłem się czuć cokolwiek w domu. Poznawszy, że nie wszystkie rozumy wywiozłem z Pragi od p. Krejczego, zapisałem się do konserwatorjum paryskiego, specjalnie do klasy kompozycji p. Rebera. Chciałem prócz studjów obeznać się z urządzeniami tej instytucji, cieszącej się opinją pierwszej na całą Europę. Rzeczywiście instytucja ta niezmiernie specjalnie kształcąca, trzymając

się jak najściślej tradycji swych założycieli, wydała wielu znakomitych kompozytorów i wirtuozów; ale tam trzeba za młodu rozpoczynać edukację, aby mieć czas ukończyć mozolny i rozwlekły kurs i jeszcze czas znaleść na otrząśnienie się z pedantyzmu i nabranie szerszych poglądów o sztuce. Każda gałąź tam zupełnie osobno się traktuje; kursy są czysto specjalne, niema zaś wykładów ogólnych, któreby wpłynęły na ogólniejsze wykształcenie. Pod tym względem konserwatorja w Niemczech wiele wyżej stoją, idą bowiem z duchem czasu. Konserwatorjum paryskie potrafiło mię utrzymać w swych murach zaledwie półroku. Zraził mnie do niego i mój profesor p. Reber, doskonały muzyk, ale taki nudziarz zatabaczony, z którym i pćłsłowa dogadać się nie mogłem. Z niczego nigdy niezadowolony, a przy każdej sposobności wdawał się w krytykę mistrzów nowszej szkoły niemieckiej: Mendelsohna, Schumanna etc. Porzuciwszy konserwatorjum w początkach r. 1868, dostałem się w opiekę p. Damckego, niezawodnie najlepszego pedagoga w Paryżu; u niego kształciłem się aż do 1870 r., dopóki mnie wojna francusko-niemiecka nie wypędziła ze stolicy świata. Na tem skończyły się moje peregrynacje po świecie. Całą zimę 1871 r. spędziłem w Krakowie, urządziłem koncert z mych utworów, dochód przeznaczywszy na odbudowanie Sukiennic. Śpiewała na nim bardzo utalentowana śpiewaczka nasza, panna Mecenseffy, niestety, już nieboszczka. Odtwarzała ona utwory moje z nieporównanym wdziękiem i poezją, i można powiedzieć, że im nadała żywotność, gdyż zaczęły ogół interesować. W tymże roku w marcu puściłem się do Warszawy, namówiony przez moją śpiewaczkę, któ-

ra tam także podążyła w celu dania koncertu. Służąc za akompanjatora w jej koncercie, dałem się poznać jako kompozytor, pieśni moje zrobiły mi renomę, zyskawszy uznanie. Poznawszy Warszawę, dałem się ująć wdziękom miasta i mieszkańców i osiedliłem się tutaj w paździer. 1871 r. Skomponowałem tutaj symfonję, którą dałem pierwszy raz w koncercie moim z własnych utworów d. 19 kwiet. 1872 r. Podczas tejże zimy zapoznałem się bliżej z zacną rodziną Grabowskich i ożeniłem się z panną Wandą. Ślub odbył się d. 15 kwiet. 1872., na cztery dni przed moim koncertem... Dziś synów mam trzech: Stanisława, liczącego 5 lat, Tadeusza 3 lata i Edwarda, urodzonego 1 grudnia 1877 r. Zaraz po ożenieniu stanowisko moje zaczęło się wyrabiać tutaj. O ile słyszałeś, Moniuszko wtedy zgasł nagle na atak apopleksji. Szansa zatem dla mnie się otworzyła odziedziczenia po nim katedry w konserwatorjum. Jakoż rzeczywiście, mimo opozycji silnej ze strony p. Kątskiego, dyrektora — musiałeś niejedno o nim słyszeć — otrzymałem posadę profesora harmonji i kontrapunktu przy tutejszem konserwatorjum. Wziąłem się do mego nowego zawodu nauczycielskiego z całym zapałem i mogę powiedzieć, że mi to na złe nie wyszło. Nabrałem wielkiej rutyny w teoretycznym wykładzie; pisanie ciągłe praktycznych przykładów przeglądanie i poprawianie zadań wyrobiło nawet większą technikę i wpłynęło na swobodniejsze władanie kompozycją. Wspólnie z kolegą Boguskim — od śmierci Moniuszki dział teorji muzycznej rozdzielono między dwóch nauczycieli — dużo zdziałaliśmy dla rozwoju muzykalności w Polsce, wydaliśmy dzieło harmonji w naszym języku, niezawodnie

najlepsze ze wszystkich mało albo wcale nie istniejących w polskim języku i to własnym nakładem. W konserwatorjum jednak po 5 latach sumiennej pracy przekonałem się, że nic zbudować nie można, nie będąc popartym sumienną i gorliwą Dyrekcją... co mnie skłoniło do usunięcia się od 1 stycznia rb. Zawód mój nauczycielski ograniczył się na lekcjach prywatnych, które tę korzyść mają za sobą, że o wiele zdolniejszych uczniów kształcisz w domu, aniżeli w konserwatorjum, do którego bez żadnego wyboru przyjmują kandydatów, nie posiadających często najmniejszej kwalifikacji do muzyki. Z początkiem marca objąłem czynności Dyrektora Towarzystwa muzycznego, założonego w r. 1870. Pensja nie tak znaczna 1000 rs. a kłopotów i zajęcia nie mało, nie tyle artystycznego ile administracyjnego. Ot, instytucja na wadliwych statutach oparta, a których zmiana oprzeć się musi aż o Petersburg; chce mieć bądź jaką muzykę, aby jej było dużo i aby jak najmniej kosztowało. Nie wiem, czy się uda tę Instytucję zreformować ku lepszemu, gdyby miało nadal tak pozostać, wątpię, żebym się mógł utrzymać na tem stanowisku. Chóry np. złożone ze samych amatorów, którzy łaskę robią, jeżeli raczą śpiewać, muszą iść kulawo; nigdy nie możesz być pewien programu koncertu lub wieczoru, zawsze musisz być przygotowanym, że ten lub ów skaprysi, chóry się nie zejdą i t. d. Już to, urodziwszy się Polakiem, oddać się muzyce z fachu, to chyba rzecz ostatnia, tyle trudności, a żadnego rezultatu. Masz więc mniej więcej obraz, choć nie zbyt szczegółowy, lecz dość wierny mego życia od czasu naszego rozstania. Mój Boże! żeby się to czasy praskie wróciły, żeby to wolno było ze

spokojnem, jak naówczas sumieniem zdobywać wiedzę dla siebie, odrobić zadaną lekcję, oddać się przy natchnieniu swobodnie kompozycji! Teraz już uprawa własnego ducha staje się coraz podrzędniejszą kwestją, a trzeba orać w bardzo niewdzięcznej glebie, w zakutych głowach i jałowych sercach. Jedno, co mnie nie zawiodło, to życie rodzinne: mam szczęście zupełne i mogę żyć nadzieją w dzieciach, które, da Bóg doczekać, pokierują się dobrze. Wolałbym ich widzieć dobrymi obywatelami kraju w innych zawodach, artyzmu nie bardzo sobie życzę. Dosyć już tej spowiedzi. Proszę Cię teraz jeszcze raz o wybaczenie mi mej opieszałości, ale wierzaj mi, że w zimowym sezonie nie mógłbym zdobyć się na list uczciwy. Lekcje, koncerty i stosunki światowe, konieczne w mej pozycji, odrywają mnie od wszystkiego, co się pismem zowie. Bywaj zdrów, zacny przyjacielu, zawsze jesteś poczciwym Łukaszem, przywódcą ku szlachetnym ideom. Twój kochający Cię. *W. Żeleński.*

*   *
*

Drugim tuzem, który sobie zjednał trwałą sympatję drużyny praskiej, był Dr. Stanisław Janikowski, syn profesora sądowej medycyny i psychiatry w Warszawie. Rzadko się zdarza spotkać człowieka, posiadającego tak, jak on, same cnoty i doskonałości, żadnych zaś prawie błędów i przywar. Łagodnością i spokojem, dobrocią niezrównaną, skromnością i wrodzonym taktem w obcowaniu, uczynnością delikatną i słodyczą zdobywał sobie serca wszystkich, z którymi przestawał. Posiadając umysł trzeźwy i jasny, choć nie wyposażony wielką twórczością, potrafił przy niezmordowanej pra-

cowitości nie tylko opanować i przyswoić sobie całą wiedzę we własnym fachu, lecz zajmować się nawet przedmiotami, nie mającymi styczności z medycyną; zwłaszcza sprawy społeczne w ogóle, a ekonomiczne w szczególności przyciągały go swą zawiłością i znaczeniem. Odznaczał się przytem stałością zasad i przekonań, ścisłością zakreślonych celów, jakie w życiu urzeczywistnić pragnął, uporczywą wytrwałością w przeprowadzeniu swych zamiarów i myśli. Dołączone tu dwa jego listy, dosadnie charakteryzują człowieka.

Wiedeń 18 maja 1861. Kochany Łukaszu! Bóg zapłać, żeś się odezwał do mnie. Myślałem już nieraz o Waszmości, ale do listów bardzo ciężki jestem od pewnego czasu, teraz zaś szczególniej, kiedy od półczwarta tygodnia piszę obszerny list codzień, albo przynajmniej co drugi dzień ex officio: Tak jest, mój Łukaszu, nigdybyś nie był tego zgadł, więc Ci muszę wyraźnie powiedzieć — stałem się dziennikarzem! tylko - da Bóg — nie na długo tego będzie, bo mi już trochę kością w gardle stanęło. Skąd mi się to wzięło? Oto za jakieś ciężkie grzechy pewno spadła na mnie ta kara, muszę bowiem greckie fatum wziąść do pomocy, aby sobie wytłumaczyć, skąd mi się wzięła ta śmieszna rola. Z Warszawy gwałtem na mnie natarli, żebym do „Gazety Polskiej“ (dawniej: „Codziennej“) pisywał korespondencję polityczną; naprózno im łopatą w głowę kładłem, że nic im nie przyjdzie z korespondencji, która ostatecznie będzie tylko kompilacją z gazet i stosunkowo późne wiadomości im będzie przynosić; nic to nie pomogło, żądali koniecznie i musiałem się zgodzić Postawiłem warunek, żeby po 3-ch korespondencjach oświadczyli, czy

chcą dalszego ciągu. Już 17 korespondencji posłałem i są ciągle kontenci: mocno ich żałuję, bo dowodzi to dwóch rzeczy: raz, że mają wielu gorszych korespondentów (o czem się zacząłem przekonywać od czasu, jak tę Gazetę zaprenumerowałem), powtóre, że na miejscu nie mają potrzebnych ludzi fachowych w redakcji, kiedy mogą się posługiwać kompilacją takiego dziennikarza - amatora, jakim ja jestem. Nie przeczę, że jest to praca zajmująca — ale dla mnie mozolna, wiele czasu zajmująca (bo nie umiem ani prędko myślić, ani prędko pisać), wreszcie pomimo zaciekawienia wciąż pozostawia mnie niezadowolonym, bo się muszę wciąż w powierzchowności poruszać z braku dostatecznych wiadomości historycznych, gieograficznych, statystycznych, prawniczych, ekonomicznych i t. d. i t. d. Długo w każdym razie w takiej pracy bym nie wytrzymał. Powierzchowność w nauce ma dla mnie coś strasznie odrażającego i pomimo nagany, której się od Ciebie spodziewam (bom ją już w Pradze słyszał), powtarzam, że jestem stworzony na człowieka, zajmować się mogącego tylko fachowo jaką nauką, a że do tego podobno nigdy nie przyjdzie, więc też nie będzie ze mnie na świecie wielkiej pociechy. (Jeżeliś ciekaw mego talentu dziennikarskiego, przejrzyj w „Gazecie polskiej" korespondencje z Wiednia, bez znaczka). Wystaw sobie, że codziennie przeczytam przynajmniej 12 gazet, a czasem i więcej! Ale nie sądź, żebym przez to zaniedbywał medycynę — owszem podczas dnia poświęcam czas na kliniki, z których szczególniej pilnie uczęszczam na Skodę i Hebrę, nadto na demonstracje z anatomji patologicznej Rokitanskiego i tegoż sekcje sądowe, wreszcie na kurs chorób

umysłowych Leidesdorfa.— Co do Polonji tutejszej, to spotykam się codzień tylko z kilkoma medykami. Są to po większej części już sekundarjusze szpitalni; kilku między nimi bardzo zacnych chłopców, parę — jakby Ci to powiedzieć? — Polaków wiedeńskich, wszyscy zaś wogóle strasznie w swym fachu zatopieni, bez porównania więcej odemnie; nieraz złości mnie i odchodzę, gdy zaczną po niemiecku (sic!) o medycynie rozprawiać. Z niższych kursów jest jeden bardzo rozumny i wszechstronnie ukształcony, a bezustannie przemyśliwający nad dobrem kraju. Przy wielkiem zatrudnieniu mojem i odległości miejsc raz jeden dopiero byłem między technikami, nie mogę więc o nich nic powiedzieć. Wiesz, żem miał zamiar ubiegać się o miejsce adjunkta przy katedrze medycyny sądowej. Otóż projekty moje na niczem spełzły. Nie wiem czy Ci wiadomo, że konferencja Akademji (składająca się teraz z 9 profesorów i prezydenta) ma prawo albo wybierać z kilku kandydatów przedstawionych przez członków konferencji, albo, jeżeli zechce, ogłosić konkurs. W obsadzeniu posady, do której aspirowałem, użyła konferencja środka mniej liberalnego, t. j. nie ogłosiła konkursu, na który w naiwności swej liczyłem. W głosowaniach tych ojciec mój naturalnie nie brał udziału. Z przedstawionych dwóch kandydatów ja otrzymałem 3 głosy, 6 zaś Dr. Pląskowski, który przeto otrzymał katedrę. Dr. Pląskowski kilka lat temu był wysyłany kosztem Rządu za granicę dla kształcenia się w psychiatrji, ale trzeba Ci wiedzieć, że tytuł profesury, o którą tu szło, jest następujący: „adjunkt do wykładu policji lekarskiej, hygjeny i dyetetyki“ — cóż więc to ma za związek z psy-

chjatrją? Pomimo tego zamierzam i nadal poświęcać się medycynie publicznej, o ile to mi będzie możliwe przy pracy na chleb powszedni.

Bywaj zdrów i pisz do mnie, a co do wycieczki w Karpaty, wciąż jeszcze o niej marzę; donieś mi, kiedy kończą się w Krakowie wasze kursy, jaki przeto byłby najdalszy termin, do któregobyś na mnie czekał? Twój *Stanisław.*

Kraków 17 marca 1867. Kochany Łukaszu! Już blisko 2 miesiące, jak odebrałem Twój list, a dziś dopiero zebrałem się nań odpowiedzieć, ale proszę Cię, nie bierz mi tego za złe i nie wnoś stąd, żebym zapomniał o starych przyjaciołach. Z początku byłem zaabsorbowany słabością żony, potem zaś zjechali tu brat żony i ich matka, których obecność bardzo wiele czasu mi zajmowała; do czego doliczywszy codzienny wykład medycyny sądowej, na który potrzeba mi kilka godzin, aby należycie się przygotować, nic dziwnego, że zaległem w korespondencji z krewnymi i przyjaciółmi. Teraz goście moi się rozjechali, wykłady teoretyczne pokończyłem, zabrałem się więc do zaległości i zaczynam od listu do Ciebie.

Otóż naprzód cieszę się, że wśród tej burzy wypłynąłeś jako tako szczęśliwie. Jak dawno się ożeniłeś? i skąd twoja żona? Dziękuję Ci serdecznie za zaprosiny, z których skorzystam, bo pragnąłbym Cię zobaczyć po tak długim czasie; jednakże na tę Wielkanoc jeszcze nie obiecuję, bo są ważne przeszkody. — W r. 1862 otrzymałem od Ciebie list i na takowy odpisałem, nie dzieląc wówczas Twoich opinij i nadzieji. Drugiego listu nie odebrałem. Przez te lat kilka przeszedłem ciężkie koleje. Najprzód co do stosunków familijnych, utraciłem w początku r: 1863 matkę, a w końcu 1864 r. ojca,

ze śmiercią którego ubyła mi jakoby część własnej istoty, tak się wzajemnie dopełnialiśmy w naszych pojęciach, pracach, zajęciach. Ojciec w ostatnich 2 latach swego życia zgryzł się niemało wypadkami naszemi publicznymi, martwił się też i mojem niepowodzeniem, gdy parę razy szczęśliwsi konkurenci ubiegli mnie w staraniach o posadę publiczną odpowiednią mym usposobieniom (lekarza miejskiego, profesora medycyny publicznej w Warszawie.) Ja tego naturalnie nie brałem tak do serca, lecz rodzicom trudno wyperswadować wygórowane pojęcie o swem dziecku: jest to słabość powszechna. Do praktyki leczniczej nie miałem wcale skłonności: poprzestawałem na wykonawstwie w szpitalu i na praktyce sądowo-lekarskiej — jako lekarz szpitalu Dzieciątka Jezus i zastępca lekarza miejskiego (obie posady bezpłatne), resztę czasu poświęcałem dalszym studjom książkowym w medycynie publicznej. W r. 1862 przy ożywionem u nas życiu publicznem otworzyło mi się właściwe pole działania w Delegacji hygjenicznej rady miejskiej warszawskiej i stanąłem szczerze na stanowisku tych, co w reformach, podanych przez Wielopolskiego upatrywali drogą jedyną do lepszej przyszłości. Nadszedł r. 1863. Trzymałem się odpornie i sceptycznie aż do lata, lecz nie wytrwałem przy moich opinjach; rezultatem było dwukrotne uwięzienie, które jednak szczęśliwie ukończyło się kontrybucją (10000 złp.): co mnie jednak najbardziej bolało, to żem cierpiał nie za przekonanie prawdziwe, lecz chwilowe, błędne, żem chwilowo (w r. 1863) zmienił przekonanie — a „przekonanie jest męża zaszczytem....“ Po śmierci ojca dały mi się uczuć dalsze następstwa zmienionego u nas porządku: usunięto

mnie ze szpitalu i z zastępstwa lekarza miejskiego, odjęto mi więc możność praktykowania w medycynie publicznej, praktyki zaś leczniczej nie miałem, jak przedtem. Za życia ojca nie troszczyłem się o utrzymanie, on bowiem zaspokajał wszystkie moje potrzeby. Teraz odziedziczyłem po ojcu około 150000 złp. w kapitałach, lecz przez 1½ roku następnego pobytu we Warszawie wydawałem więcej, niż miałem dochodu i potraciwszy kapitały, których nie będzie można odebrać, mam obecnie około 130000 złp. Tymczasem w przeszłym r. ożeniłem się, co nie zmniejszyło wydatków, gdy niemal równocześnie spada mi jak z nieba zapowiedź, a w pół roku potem urzeczywistnienie tego, do czegom oddawna wzdychał, nominacja na profesora medycyny publicznej w Krakowie, o którą wcale się nie ubiegałem. Przemiosłem się więc zaraz do Krakowa, w którym od 5 miesięcy wykładam i szczęśliwym się czuję, osięgnąwszy stanowisko, na którem siły moje dadzą się najodpowiedniej spożytkować. Żonę pojąłem niemajętną, ale, co więcej znaczy, poczciwą, dobrą, nierozrzutną, a przytem młodą i ładną. Tutaj żyć można oszczędniej, niż w Warszawie, pensji mam 1200 złr., czesnego około 300 złr. rocznie, a doliczywszy około 8000 złp. dochodu od kapitału mógłbym żyć wygodnie, a nawet coś oszczędzić. Z praskich znajomych jeden Strzałko umarł niedawno w Łodzi. Żeleńskiego widziałem tu przed 4 miesiącami; pojechał do Paryża dalej pracować nad muzyką. Wtyński jest w Warszawie we fabryce machin. Kończę dziś na tem, prosząc Cię, abyś mi nie oddał wet za wet pod względem odpowiedzi. Ściskam Cię serdecznie Twój. *Stanisław.*

Po opuszczeniu przymusowem Pragi spotkałem się w gromadzie ze serdecznymi druhami z Pragi jeszcze tylko dwa razy: najprzód na proponowanej i urządzonej przezemnie wycieczce w Tatry, odbytej wspólnie na początku wielkich ferji w r. 1861, na którą stawili się prawie wszyscy „weterani pułku“ i Dr. Janikowski, potem z lekarzami głównie w r. 1862 w Berlinie, do którego przeniosłem się na ukończenie studjów dla doktoryzacji i egzaminu państwowego. Już w półroczu letniem t. r. zostałem wybrany przez młodzież na „marszałka“ Towarzystwa literackiego, instytucji oddawna istniejącej w Berlinie, która pod mojem przewodnictwem dosięgnęła szczytu rozwoju i chluby, w owym to bowiem czasie powstała myśl zjednoczenia w związek ogólny całej młodzieży, kształcącej się we wyższych zakładach w kraju i zagranicą, do czego pomysł akademików berlińskich uczczenia pamięci przed rokiem zmarłego Lelewela nadał się wybornie, jako niewinny a szlachetny środek. Chociaż bowiem ta myśl już przedtem pokutowała wśród młodzieży, teraz dopiero z powodu zbierania składek na fundusz świetnego historyka weszła ona ze sobą w ściślejsze związki. W sprawie tej rozesłałem w imieniu Towarzystwa literackiego w Berlinie następującą odezwę: „Bracia! Dzień 29. Maja jest pierwszą rocznicą śmierci ś. p. Joachima Lelewela. Nie tu miejsce rozwodzić się nad zasługami zmarłego, lecz przypomnieć się godzi, iż był wzorem służącego krajowi obywatela, nauczycielem dwóch ostatnich pokoleń, patrjarchą całej dziś kształcącej się młodzieży polskiej. Słuszna tedy, aby ta młodzież w smutną rocznicę uczciła pamięć drogiego sobie męża trwałym, życiu jego odpowie-

dnim pomnikiem. Przyznacie, że nie na czasie dzisiaj stawiać pomnik z marmuru i ze surowem życiem a skromnością, z ostatnią wolą zmarłego niezgodny. Temi uczuciami kierowana młodzież polska w Berlinie powzięła myśl uczczenia cieniów przewodnika naszego, założeniem stypendjum, nazwisko Lelewela noszącego, które pod bezpośredni nadzór Towarzystwa Pomocy Naukowej w Poznaniu oddane, otrzymywać będzie Polak, poświęcający się historji w literaturze ojczystej. Nie będąc w możności sami znacznego kapitału dostarczyć, dzielimy się z wami, Bracia, tą myślą w naszem gronie poczętą, z tą niezawodną nadzieją, że jej jako cudzej nie odepchniecie, ale owszem za wspólną uznać zechcecie, że przyczynicie się choć skromnym datkiem do urzeczywistnienia tego pomysłu: wzorem, pracą, cnotami ś. p. Lelewela natchnionego. Obok naszej składki przy spodziewanym udziale obywateli i młodzieży w kraju, jako też Waszym, Bracia, po obcych rozrzuceni wszechnicach, spodziewamy się, że na rok przyszły uzyskamy nowego towarzysza, który się szczycić będzie, że fundusz na kształcenie się dali mu koledzy, któremu wzorem i bodźcem do sumiennej a wytrwałej pracy będzie miano, jakiem ten fundusz ochrzczony“.

Nie było uniwersytetu, nie było techniki, nie było gimnazjum w kraju i za granicą, żeby nie pospieszono z datkiem na ten pomnik trwalszy od kruszcu dla ś. p. Lelewela. Szczególniej obywatele ze zaboru pruskiego znacznie się przyczynili do powiększenia tego funduszu, który urósł w ciągu roku do 6000 talarów. Było to piękne ale i ostatnie dzieło, poczęte przez młodych, dokonane przez starszych. Wkrótce

miały nieprzewidziane wypadki rozerwać ten brylantowy sojusz młodzieńczego natchnienia i zapału z dojrzałą rozwagą i rozumem wiekowych — i rzucić jednych pod sztandar powstania, drugich w sidła reakcji. „Kto winien? obie strony. Starcy okazali za mało rozumu i odwagi cywilnej, młodzież za wiele serca i płochości.“ Temi słowami wypowiedzianemi przezemnie przed 18 lat (w książce: „Zabór Pruski w czasie powstania 1863 r.“ Jassy 1870 stron 250) kończę niniejsze wspomnienie, życzę, aby rozbudziło w czytelnikach gorętsze i lepsze uczucia, których szara treść życia codziennego rozniecić nie potrafi.

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko
W dawnej postaci — jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko
I świeże kształty dla siebie przybiera.
Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

(*El...y.*)